



Katarzyna
Targosz

Wiosna
po wiedeńsku

Katarzyna Targosz

**Wiosna
po wiedeńsku**

JanKa
2014

Copyright © Katarzyna Targosz, 2014
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2014

Wydanie I
Pruszków 2014

Seria **JaneczKa**

ISBN 978-83-62247-33-2

Zdjęcia wykorzystane na okładce: Katarzyna Targosz

*Dla Grzesia, bez którego nie spełniłoby się
żadne z moich marzeń.*

(..)

Rano obudził mnie dzwonek do drzwi, a właściwie nie dzwonek, tylko krzyk Wuj:

– Dzwonek!

– To otwórz! – odkrzyknęłam, ale nie doczekałam się rezultatu, a dźwięk się powtórzył. Zwlokłam się z łóżka i poczłapałam do drzwi.

– O, ładna piżamka – rzekła Yvonne, kiedy jej otworzyłam.

– Oszalałaś? Co tu robisz tak wcześniej?

– Wcześniej?! Jest jedenasta, prawie południe!

– Tu mieszkają głównie ludzie niepracujący. Nawet więcej, artyści niepracujący. Dla nas czas zegarowy nie ma najmniejszego znaczenia – włączył się Wuj, wychodząc z łazienki w samym ręczniku. Jego chude nóżki i chłopięcy tors wyglądały wręcz żałośnie, ale Yvonne nie dała się zbić z tropu.

– No, no, jednak wybrałam odpowiedni moment, żeby się zjawić – powiedziała, uśmiechając się do niego.

– Wchodź. Jak już jesteś, to zjemy razem śniadanie... Albo i nie – dodałam, patrząc na zawartość lodówki, a właściwie jej brak. – Chyba trzeba zrobić jakieś zakupy...

– Wiktor poszedł – burknął Wuj, skrzywiony. – Będą ananasy, otręby, a dla nas jajka po wiedeńsku!

– Wiktor się odchudza – wytłumaczyłam zdumionej Yvonne. – Po kuracji hormonalnej, sama wiesz, przytył piętnaście kilo, więc teraz próbuje być na diecie pięćset kalorii.

– Ambitnie.

– Zbyt ambitnie, niestety. Z początku wytrzymał cały dzień na marchewce i soku, a wieczorem tak go brało, że wymiatał wszystko, co dało się zjeść, łącznie z musztardą prosto z tubki i bułką tartą.

– Co ty mówisz?!

– I strasznie go gryzło, że my możemy jeść, na co mamy ochotę, więc postanowił, że nie wolno nam kupować nic oprócz tego, co on sam jada: grejpfrutów, sałaty i tak dalej. Żadnych ciastek, czekolady ani sznycli, nawet coli. Sam robi teraz zakupy i przynosi tylko po-twornie dietetyczne rzeczy.

– A wy co?

– Dla nas są jajka! – włączył się Wuj. – Wiktor jest na nie uczu-lony, więc to jedyne, co może bez obawy leżeć w lodówce. Możemy sobie jeść jajek, ile chcemy, ale nie smażonych, bo za ładnie pachną! Jajka po wiedeńsku na śniadanie, jajka po wiedeńsku na obiad, jajka po wiedeńsku na kolację. Mieszkamy przecież w Wiedniu, do cho-lery! – krzyknął rozdzierająco i zniknął w swoim pokoju.

– Nie zwracaj uwagi – rzuciłam do coraz bardziej oszołomionej Yvonne. – Ma ostatnio trudny okres. No i faktycznie, cały czas te jajka...

– Nie możecie się zbuntować?

– Trochę żal mi Wiktora, wytrzymam, jeśli to ma mu rzeczywi-ście pomóc. On mówi, że możemy przecież jeść na mieście. Ja tak robię, ale Wuj przeżywa jakiś kryzys i wcale nie wychodzi z domu.

– Gdybym wiedziała, przemyciłabym wam pizzę. A co do Wuja, to może powinnam z nim pogadać, wiesz, mogłabym mu pomóc.

– Sam z tego wyjdzie, szkoda twojej energii.

– A właśnie! – ożywiła się Yvonne. – Wiesz, dlaczego przyszłam?

– No?

– Przyszłam, żeby cię ostrzec. Wczoraj przeanalizowałam twój biorytm i wygląda na to, że nadchodzi dla ciebie czas nagromadze-nia dużej ilości negatywnej energii.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na nią w osłupieniu. W sumie nie było to nic niezwykłego, że Yvonne coś takiego dostrzegła. Ona zawsze coś dostrzegała, ale żeby od razu nagromadzenie negatywnej energii?!

Ta znerwicowana psycholożka z pasją maniaka analizowała wszystko i wszystkich. W każdym dopatrywała się śladów zabu-rzeń osobowości lub psychozy, ale to było coś nowego. I miałam

tego wysłuchiwać z samego rana?! Musiałam dać sobie chwilę na przygotowanie się do jej opowieści.

– Czy sądzisz, że mogę rozmawiać o negatywnej energii ubrana w piżamę? Zrób nam kawę, a ja pójde ubrać się w coś stosowniej-szego. Może jakąś czerń...

– Nie, właściwie to nie mam czasu – zaoponowała. – Miałam się tylko dowiedzieć więcej o efektywności twojego nocnego wypo-czynku. Jak się czujesz podczas snu?

Zamrugala oczami.

– Yvonne, podczas snu... zazwyczaj śpię, więc skąd mam wie-dzieć, jak się wtedy czuję?

– Tak właśnie myślałam, że nie otrzymam od ciebie odpowiedzi. Dlatego muszę skombinować takie specjalne urządzenie do mo-nitorowania oddechu, które ustawimy w twojej sypialni. O ile uda mi się je w tym mieście dostać...

Spojrzałam na nią pytająco, choć w zasadzie nie zależało mi na wyjaśnieniach. Przyjaciółka jednak postanowiła wyjaśnić.

– Być może zła jakość snu jest źródłem twojego problemu.

– Ale ja nie mam żadnego problemu.

– Jeszcze! – rzuciła złowrogo. – Zaburzony odpoczynek w nocy implikuje najróżniejsze dysfunkcje. Myślę, że w twoim wypadku może to być też wina pralki.

Czasami po kilku jej zdaniach kompletnie się wyłączałam. Nie-przytomnie odprowadziłam ją do drzwi i równie nieprzytomnie zapewniłam, że nie mogę się doczekać nowej pralki, na co Yvonne uświadomiła mi, że wszystko pokręciłam, po czym wyszła.

Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zmartwiło. Uwielbiałam ją, była moją serdeczną przyjaciółką, jednak czasami przeciążała moje receptory, szczególnie gdy zjawiała się z samego rana z opowieścia-mi o maniach, nerwicach i psychozach. Zdecydowanie wolałam o tej porze kawę, rogalika i nudnawy program w telewizji.

Miałam wrażenie, że dopiero co zamknęły się drzwi za moją zwa-riowaną koleżanką, gdy znów rozległ się dzwonek. Nie, w tym do-mu nie było chwili spokoju! Pewnie Wiktor wrócił z zakupów i jak

zwykle zapomniał kluczy. Przez jakiś czas łudziłam się, że może tym razem Wujo otworzy lub że Wiktor znajdzie jednak klucze w swej błyszczącej różowej torebce, ale gdy dźwięk rozległ się po raz piąty, ruszyłam w końcu do drzwi w samym staniku, po drodze zapinając włożone właśnie spodnie. Z jedną ręką na rozporuku, drugą szarpnęłam za klamkę.

– Cholera, mógłbyś zabierać...

Jeśli są momenty, w których na świecie wszystko na chwilę zastyga, niczym w niskobudżetowym filmie akcji, to to właśnie był taki moment. Zamarła, z jedną ręką na nie do końca zapiętym rozporuku, z głosem uwiecznym w gardle, patrzyłam na stojącego za progiem funkcjonariusza policji austriackiej Martina Pettersena i nie miałam żadnego pomysłu na następną klatkę w tej pseudohollywoodzkiej produkcji.

Staliśmy tak chyba całą wieczność. W każdym razie przez głowę przeleciało mi dostatecznie dużo myśli, by zapełnić tę nieskończoną jednostkę czasu. Dopiero gdy zza pleców Martina odezwał się obcy głos, dostrzegłam, że stoi za nim jeszcze dwóch mundurowych.

Usłyszałam swoje nazwisko i pytanie, czy ja to ja, ale byłam tak odrealniona, że trudno mi było być pewną.

– Komisarz Pettersen – przedstawił się, jakby to było potrzebne.
– A to moi współpracownicy, śledczy Stock i Neubauer. Możemy wejść?

Kiedy dotarł do mnie jego głos, zrozumiałam, że to dzieje się naprawdę. Jednocześnie pomyślałam, jak dawno nie słyszałam tego głosu... Zdałam sobie też sprawę, że nie jestem zbyt kompletnie ubrana, choć można było mi wybaczyć to przeoczenie, zważywszy na niezwykłość sytuacji. Mimo to poczułam się głupio.

– O co chodzi? – spytałam zdezorientowana. Widok pana komisarza mocno zachwiał moim światem.

– Wolałbym, żebyśmy porozmawiali w środku.

Włosy miał lekko roztrzepane. Inni mówili na to artystyczny nieład i wydawali mnóstwo pieniędzy w salonach fryzjerskich, by osiągnąć podobny efekt. Jemu układały się same z siebie. Pamiętałam,

jak pachną jego włosy i nagle jakaś cząstka mnie zapragnęła znów poczuć ten zapach.

– Proszę pani?

Zdałam sobie sprawę, że musiałam jakiś czas stać bez ruchu. Wbiłam paznokiec w kciuk, co, jak kiedyś przeczytałam, miało pomagać w przywróceniu kontroli nad własnymi reakcjami. Czasami, sprawdziłam, faktycznie pomagało. Tym razem średnio.

Mówił do mnie: „Proszę pani”? No tak, był na służbie. Jak zawsze.

– Dobrze, proszę wejść, ale pozwól panowie, że dokończę się ubierać? – To mówiąc, zapięłam wreszcie spodnie, co musiało wyjść dość komicznie.

– Oczywiście, zaczekamy.

Zmierzając do sypialni, krzyknęłam rozdzierająco:

– Wujo!!!

Spowodowałam nerwowy podskok u policjantów, ale ze strony przyjaciela nie doczekałam się żadnej reakcji, a trudno mi było wyobrazić sobie, że nie usłyszał. Być może dziś znów obchodził dzień pod hasłem „Podaję się do dymisji”, polegający na zakopaniu się w barłogu i odmawianiu wszelkich interakcji.

*

Każda kobieta w dniu, w którym los stawia na jej drodze byłego chłopaka, chciałaby wyglądać olśniewająco. Niektórym to wychodzi. Że wyszło mnie, mógłby uznać chyba tylko dewiant mający obsesję na punkcie babcinych kapci. Byłam w ulubionych domowych spodniach (szerokich bojówkach, które przez większą część spotkania miałam rozpięte) i różowych futrzanych klapkach (Wiktor kupił sobie kiedyś za mały rozmiar), z jakimś kołtunem zamiast włosów, no i owszem, w czarnym koronkowym staniku, co jednak nie ratowało całości, a tylko tworzyło tym bardziej żalostną kompozycję. Można by również wspomnieć o braku makijażu albo raczej o jego tragicznych pozostałościach z dnia poprzedniego, ale po co się jeszcze bardziej dołować.

Za to on wyglądał idealnie. Tak samo jak kiedyś...

Projekt okładki:
zespół

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-33-2

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl